116.

BIBLJOTEKA
TEATRU WIELKIEGO
ZARZĄDU MIEJSKIEGO
w król. stol. m. Lwowie

64/

Córka marnotrawna.

kom. o 4 akt.

Marian Szyjkowski.

Państw. Teatr Ś[illegible]ki
SYG 116.
Katowice — [illegible] A

WŁASNOŚĆ
TEATRU MIEJSKIEGO
we LWOWIE
ZWROT NASTĄPI KOSZTEM

Państw. Teatr [illegible]
Sygn. 116
[illegible] — Libl[illegible]

343 116
5621

CÓRKA MARNOTRAWNA.

Komedja
w czterech aktach.

BIBLJOTEKA
TEATRU WIELKIEGO
MIEJSKIEGO
w Król. Poln.

Napisał

Marjan Szyjkowski.

WŁASNOŚĆ
TEATRU MIEJSKIEGO
W WARSZAWIE
ZWROT ZASTRZEŻONY

BIBLJOTEKA TEATRU WIELKIEGO ZARZĄDU MIEJSKIEGO w król. stoł. m. Lwowie

O s o b y :

Pan Rozbierski, obywatel ziemski, lat ponad 50.

Pani Rozbierska, jego żona, lat 40.

Elżunia, ich córka, lat 18.

Madzia, koleżanka Elżuni, lat 18.

Pan Roman, kandydat agronomji, na praktyce u Rozbierskich, lat 20.

Ildefons Szumlański, obywatel ziemski, sąsiad Rozbierskich, lat 70.

Szumlańska, jego żona, lat 60.

Trzy córki Szumlańskich, stare panny, lat 35 - 40.

Ks.Proboszcz, lat 60.

Walery Stawski, obywatel ziemski, sąsiad Rozbierskich, lat pod 50.

Henryk Borski, sławny tenor, kolega i rówieśnik Stawskiego.

Bierowa, redaktorka, lat 45.

Max Bromer, krytyk teatralny, lat ponad 60.

Kurt Hüttel, amant teatralny, lat 30.

Anni, pokojowa, lat 20.

Dyrektor dancingu - Trzy "paniusie"w boksie - Boy w liberji. - Służba u Rozbierskich - Kolendnicy z gwiazdą - Goście na dancingu. - Jazz band.

Akt I. "W starym domie" - u Rozbierskich w święta Bożego Narodzenia.

Akt II. "Dancing w Zakopanem" - w dwa tygodnie później.

Akt III. i akt IV. zagranicą, w wielkiem mieście niemieckiem, w mieszkaniu Borskiego. Akt III."Po debjucie" - w jesieni tegoż roku. Akt IV."Córka marnotrawna" - w rocznicę Bożego Narodzenia.

WŁASNOŚĆ TEATRU MIEJSKIEGO we LWOWIE ZWROT ZASTRZEŻONY

Akt I. "W starym domie".

Obszerny pokój bawialny w podhalańskim dworze, gdzieś w pobliżu Zakopanego. Urządzenie staroświeckie, meble "rodzinne" ze starych dobrych czasów, Biedermajer i jakiś cenny Ludwik, też klawikord w głębi starszego kroju. Na ścianach portrety rodzinne - na stolikach roboty szydełkowe pani domu. Całe wnętrze tchnie tradycją w lepszem znaczeniu tego słowa.

Jest podwieczór drugiego święta Bożego Narodzenia, Na lewej stronie sceny wielkie, ubrane drzewko - na kominku wesoło prycha rozpalony, sosnowy ogień - w prawym koącie, pod stojącą lampą /jedyny tu bodaj sprzęt "nowoczesny"/ w wygodnym fotelu siedzi pani domu, oczywiście z robótką, osoba po 40-ce, cicha, skromna, schowana w cieniu głośnego cienia ojca, nibyto domowego "satrapy", w istocie zawojowanego przez córkę jedynaczkę.

Na scenie, prócz pani Rozbierskiej, jedynaczka, Elżunia, i jej koleżanka, przyjaciółka, powiernica, Madzia Skiwska, zaproszona na święta do Rozbierskich.

Obie panienki w błogosławionym wieku lat 18-u, niby dojrzałe, boć przed pół rokiem ukończyły szkołę średnią, w istocie jeszcze w okresie podlotków. Madzia, liryczna, "wiochna" na słodko - Elżunia rezolutna, "kozaczek", całkowicie przytłacza wszystkich /zwłaszcza Madzię/ swą "indywidualnością", a czasem i przeraża "postępem", który wyczytała z książek.

Obie panienki oglądają przy stoliku ostatni, świąteczny numer ilustracji, poświęconej teatrowi i kinu, czem Elżunia zajmuje się "fachowo".

BIBLJOTEKA TEATRU WIELKIEGO ZARZĄDU MIEJSKIEGO w król. stoł. m. Lwowie

BIBLIOTEKA TEATRU WIELKIEGO ZARZĄDU MIEJSKIEGO w Krakowie

S c e n a p i e r w s z a.

Elżunia:/Odczytuje nadpis nad wielkiem zdjęciem/: "Henryk Borski, nasz znakomity "gwiazdor" zagraniczny - w Zakopanem". Pod spodem masz bliższe objaśnienie:"Po wieloletniej niebytności w kraju, Henryk Borski, który od tylu lat czaruje uszy cudzoziemców swoim przepysznym tenorem, postanowił spędzić święta Bożego Narodzenia w ojczyźnie i przyjąć zaproszenie kolegi z ławy szkolnej, znanego obywatela ziemskiego pana W.St., właściciela Wólki Dunajeckiej pod Zakopanem. Zamieszkał w jego gościnnym dworze, skąd codziennie dojeżdża swą wspaniałą Minerwą do Zakopanego i bierze żywy udział w życiu towarzyskiem Perły naszych Tatr".

A tutaj masz jego zdjęcie fotograficzne - na całą stronę.

Madzia: No, pierwszej młodości już nie jest. Czoło wysokie, za wysokie - poprostu, łysawy. I taki dziwny uśmiech.

Elżunia: Przecie to już będzie ze dwadzieścia lat, kiedy wyemigrował z kraju. Gdzieś o tem czytałam - i dobrze pamiętam. Was jeszcze wtedy nie było na świecie. A uśmiech ma, widzisz - taki aktorski. Zresztą - ty się przecie nic na tem nie znasz.

Madzia: Wygląda, jakby go sobie przylepił do twarzy.

Elżunia: To jest poza wielkiego aktora; taki jego uśmiech - reprezentacyjny. Każdy wielki aktor, czy aktorka posiada swój uśmiech reprezentacyjny.

Madzia: /trochę nieśmiało, ale serjo/: A ty, Elżuniu - masz już swój uśmiech.. reprezentacyjny?

Elżunia: Żebyś wiedziała!.. Czekaj. Zaraz ci pokażę. /Podchodzi do lustra i ciągnie ją za sobą. Także matka przerywa robótkę i obserwuje/.

Matka: A mojej córeczce ciągle pstro w główce. I kiedy to się ustatkuje!

Elżunia: Proszę patrzeć. /Przygotowała uśmiech przed lustrem

- i prezentuje go dookoła./ A co? - jest reprezentacyjny?

Madzia /trochę nieśmiało/: Zdaje mi się.. Greta Garbo - ale, ślicznie!

Elżunia /podrażniona/: Jesteś niemądra. Mówiłam, nie znasz się na tem. /Ogląda sama "swój" uśmiech w lustrze./ Zresztą - może masz trochę racji. Czekaj - spróbuję zrobić inny./"Robi" w lustrze, wkońcu sama zniechęcona, machnęła ręką./ To znowu mogłaby być - Marlena Dietrich. Wogóle - niedobrze zbyt wiele wpatrywać się w te "gwiazdy". /Mówi pompatycznie:/ Zatraca się własną indywidualność.

Matka: Indywidualność, Boże drogi! - w tym wieku!

Elżunia: W tym wieku, mamusiu, w tym wieku! W tym wieku Juljusz Słowacki - wiadomo. Także Szekspir, - no to już nie jestem pewna: ale Modrzejewska - może trochę starsza. /Konceduje./ Tylko że nie wolno być gęsią, i to gęsią prowincjonalną, "cura domestica ruralis" /dobrze Madziu z tym rodzajem?/, panienką na wydaniu. Zwłaszcza jak się ma iskrę Bożą, o tu, tu.. /uderza się w serce ruchem teatralnym/. Wszyscy mi to mówili po występie w "R.H.Inżynierze" na zakopiańskiej scence.

Madzia /skwapliwie potakuje/: Tak, tak - jesteś gwiazdą Koła Dramatycznego.

Elżunia /gorzko/: Gwiazdą.. gwiazdą na Krupówkach. /Odsuwa się z Madzią, żeby matka nie słyszała./ Oni /myśli "rodzice"/ są bardzo kochani. Ale "sztuki" nie rozumieją - i że to się ma w sobie - i że tego wyrwać nie można, chyba z sercem. To są kochani "starzy" ludzie, którzy nic tego nie rozumieją i nigdyby się nie zgodzili, żeby córka, jedynaczka, "szlachcianka", z "takiej" rodziny - do teatru. Stare przesądy, które dochowały się jeszcze po "małych domkach", zabitych deskami od świata. Pozwalają mi na deklamacje, na recytacje, na "mickiewiczowskie wieczory", bo to już szkoła sankcjonowała - wreszcie, choć niechętnie na Kółko Dramatyczne - i to jest maximum tego, co mogłam uzyskać.

BIBLJOTEKA TEATRU WIELKIEGO ZARZĄDU MIEJSKIEGO ... król. stoł. m. L...

Ale przecie Krupówki nie mogą mi wystarczyć. Chcę się uczyć - wypłynąć na szerokie wody życia - po sławę. Popatrz: taki Borski - zna go cały świat, ludzie za nim latają po autografy, z teatru po przedstawieniu nie może się wydostać, konie się wyprzęga.

Madzia /prostując/: Podobno jeździ autem.

Elżunia: Wszystko jedno. Ma sławę, pieniądze - szczęście.

Matka: /Dosłyszała/: Skąd wiesz, moje dziecko, że jest szczęśliwy? Sława i pieniądze szczęścia jeszcze nie dają.

Elżunia: Tak się mówi /półgłosem/ - po "małych domkach". Życie tam /wyciąga w dal rękę/ musi być bystre, bujne, piękne. /Zapatrzyła się w dal - zadumała nad wizją chimeryi. - Dłuższe milczenie. Na dworze, za oknami zrobiła się noc./

Matka: Niebawem zaczną się goście zjeżdżać - a ojca nie widać.

Elżunia /Otrząsnęła się z marzeń/: Tatusia w Zakopanem zawsze muszą zatrzymać. U Karpowicza, wiadomo, rostrzyga się sprawa "przesilenia" i losy świata po wielkiej wojnie. Co to jest "wielka wojna"? Dla nas to już tylko książka - dla nich jakieś okropne przeżycia. Nic tego nie rozumiem. I nawet myśleć nie chcę. Wolę moją "sztukę", choćby tę przez małe "s" - w zakopiańskiem Kółku Dramatycznem. Wtedy, na występie w "R.H.Inżynierze", poczułam po raz pierwszy, co to jest - scena. To tworzenie innego życia, innej "prawdy". To wyjście z siebie, z własnej skóry, z własnej doczesności - i ten proces przeobrażenia. I tę przestrzeń widowni, jakby bezkresną, jakby siedziała w niej wieczność i nieśmiertelność; a to siedzą ludzie, śmiertelni - i oklaskują i cieszą się lub płaczą. Ty zaś, aktorze, jesteś sprawcą tego śmiechu i tego płaczu, bowiem sztuką twoją sięgnąłeś "do trzew" człowieczeństwa, zatargałeś uczuciem, poruszyłeś stojącą wodą codzienności:..

Madzia /zachwycona/: To piękne, to bardzo piękne... I jak się to właściwie robi?

Elżunia: Tego się nie da nauczyć. Trzeba umieć uwierzyć w to

drugie życie na scenie - uwierzyć i pokochać tę drugą prawdę. Trzeba nią żyć, naprawdę, w pełni, tak, żeby i ci, którzy patrzą i słuchają, w to życie uwierzyli.

Jest tam w "R.H.Inżynierze" taka scena żywa, beztroska - niby nic - a jednak

Dopełnia tej sceny
przy otrzymaniu tekstu komedji Szaniawa

BIBLJOTEKA
TEATRU WIELKIEGO
ZARZĄDU MIEJSKIEGO
w król. stoł. m. Lwowie

WŁASNOŚĆ
TEATRU MIEJSKIEGO
we LWOWIE
ZWROT ZASTRZEŻONY

S c e n a d r u g a.

/Pod koniec "boksu" słychać dzwonki zajeżdżających sanek. Do pokoju wpada w rozpiętej szubie i czapie na głowie pan Rozbierski, lat zgórą 50, szlagon o sumiastym wąsie, trochę zawiany, mówi głośno, tubalnie. W rozwarte jego ramiona wpada boksująca się Elżunia. Ojciec zapina ją w futro, że tylko jasna główka wyłania się na zewnątrz./

Rozbierski: Ho, ho - trzymam i nie puszczę! Toż widzę mój "kozaczek" cały dom mi chce przewrócić do góry nogami, a tu panie dzieju, goście jadą i nawet będzie wielka niespodzianka, zwłaszcza dla Elżuni, naszej "gwiazdy".

/Tymczasem Elżunia uwolniła się z futrzanych objęć, a papa odrzucił futro i chodzi, zacierając ręce od mrozu./

Elżunia: Tę niespodziankę wymyślił tatuś u Karpowicza?

Rozbierski: Zgadłaś - u Karpowicza. Wstąpiło się tam na chwilę.

Matka: Jak zwykle.

Rozbierski /powtarza machinalnie/: Jak zwykle, panie dzieju. No i tam o tem, i owem, panie dzieju. Wtem patrzę przy bufecie, kto stoi? Walery Stawski, panie dzieju, sąsiad z Wólki Dunajeckiej. A żeśmy się, panie dzieju, kopę lat nie widzieli, - tedy, panie dzieju, podchodzę. Ale widzę, panie dzieju, że sam nie jest, chociaż sam śliwowicę popija. Rozmawia, myślę sobie, z jakimś "ceprem" z miasta, panie dzieju, taki starszawy, łysawy, wygolony... /spostrzegł się/. No tak - ale to miała być niespodzianka.

Elżunia: Niech już tatuś dalej pięknie peroruje, kiedy zaczął. Wiemy, że nigdy sam niespodzianki nie doniósł - tak korci go języczek.

Rozbierski: A ty smarkulo, językiem rodziciela, panie dzieju, nie pomiataj - ale, jak już chcesz, tak dalej, panie dzieju, posłuchaj. Tandem tedy, jak się rzekło, do Walerego sąsiada, pa-

Biblioteka Narodowa im. Wyspiańskiego

nie dzieju, przystępuję. Całujemy się z dubeltówki - a on mi, panie dzieju, swego towarzysza prezentuje. Słyszę coś tam na ... ski, jak to zwykle bywa przy prezentacji - i już te trzy śliwowice, starsze, co to, panie dzieju, Karp chowa osobno, dla stałych gości, stawiać każę; kiedy Walery za rękę mnie chwyta, panie dzieju, i gada: dwie, tylko dwie. Ki djabeł? myślę sobie: święto uroczyste Narodzenia Pana jest, okazja, panie dzieju, jest, kopę lat śmy się nie widzieli, no i trzech nas, panie dzieju, chłopów nie ułomków koło bufetu u Karpia stoi. A ludzie patrzą, panie dzieju, - i coś tak patrzą wszyscy w naszą stronę, panie dzieju, jakby czekali, czy panie dzieju, razem tę śliwowicę wypijemy, czy też nie wypijemy.

Matka: Czyżby nie można skrócić tej narracji ze względu na zapowiedzianych gości?

Rozbierski: Więc krótko i węzłowato.. Gdzieśmy to, panie dzieju, stanęli?

Elżunia: W momencie wysokiego napięcia dramatycznego: trzech was stoi u bufetu a reszta ciągnie węzełki: wypiją ci trzej wódkę, czy nie wypiją...

Rozbierski: Dobrze mówisz. Zwracam się tedy, panie dzieju, co najuprzejmiej, do tego "cepra" na ...ski i zapytuję: czy Pan Dobrodziej, broń Panie Boży, nie chory, że w tak wielkie święto, panie dzieju, alkoholu odmawia, co to nawet Pan Jezus w Kanie Galilejskiej /niby że winó także alkohol/ pobłogosławił? - Na co mi tenże: "Bardzo dziękuję, ale wódka szkodzi mi na głos" - czego byłbym nigdy nie zrozumiał, gdyby, panie dzieju, nie Walery, który dodał: "Tenor pana Borskiego jest chwałą Polski i własnością publiczną, której nie wolno mu zmarnować". Popiliśmy więc we dwóch - a na zakończenie, wyobraźcie sobie, zaprosiłem ich obu na dzisiejszy wieczór do nas po kolacji. Myślałem sobie, panie dzieju, nie pije bo nie pije, ale sława

światowa jest i Elżunia, panie dzieju, ucieszy się, gdy pozna - jak to mówicie? - takiego "gwiazdora" /paskudne słowo/.

Elżunia: Borski!.. Henryk Borski u nas...

S c e n a t r z e c i a .

/Wchodzi jako pierwszy gość pan Roman, młody 20-letni agronom, na praktyce rolnej u Rozbierskich, więc na pół domowy, w Elżuni widocznie, choć nieśmiało i niezgrabnie zakochany./

Rozbierski /podchodzi do niego, wita/: Oho, pierwsza jaskółka - pan Roman, jak zwykle, punktualny. Biegnę się przebrać. Tymczasem, panie dzieju, bawcie gości. /Wychodzi./

S c e n a c z w a r t a .

/Ci sami bez Rozbierskiego/ Elżunia /do Romana stale tonem komendy/: Pan Roman wykleji tymczasem jeszcze kilka łańcuszków na drzewko /prowadzi go do przygotowanych papierków i kleju/. Jest specjalistą w tych sprawach.

Roman /wodzi za nią rozkochanemi oczami i odpowiada stale krótko, tonem podkomendnego/: Tak jest, panno Elżbieto.

Elżunia: Prosiłam, żeby mnie nie nazywać uroczyście "Elżbietą" - tylko sympatycznie, z polska "Elżunią", albo, jeżeli pan woli po cudzoziemsku - to "Elzą". To z "Lohengrina" -/na pół żartem/ - i tak będę się nazywać, kiedy wystąpię na scenie zagranicznej.

Roman: Tak jest, panno...panno...Elżuniu...Elzo...

Elżunia: Pan Roman musi się zdecydować. I wogóle - nie można być takim ciamajdą, zwłaszcza, gdy się jest mężczyzną. Takiego żadna "kobieta" nie pokocha.

Roman /smutno/: Tak jest, panno...panno...

Elżunia: Więc?- jakże będzie z tem imieniem? Elżunia, czy Elza?

Roman /nieporadnie/: Nie wiem...Ja bym wolał...Ja bym wolał..

Matka: Elżuniu - nie męcz że pana Romana!

BIBLJOTEKA TEATRU WIELKIEGO ZARZĄDU MIEJSKIEGO w król. stol. m. Lwowie

Elżunia /nie zważając, dalej nielitościwie/: No i coby pan wolał? Niechże pan raz nareszcie powie od siebie, coby pan wolał?

Roman: Kiedy ja chciałbym zawsze tak, jak pani lubi.

Elżunia /autorytatywnie, niby z doświadczenia/: To źle. Mężczyzna powinien mieć zawsze własną wolę, własne zapatrywania.

Roman /ośmielony/: Ja bym wolał: "Elżunia".

Elżunia /zgadza się/: Dobrze. Niech będzie "Elżunia". Tak mnie tu wszyscy nazywają. Ale zagranicą będę - Elza. To z Lohengrina.

S c e n a p i ą t a .

/Ciż sami - i zjeżdżający się goście, zapowiadani kolejno dzwonkiem sani. Szereg typów ziemiańskich z sąsiedstwa - stary, polski światek. Wchodzą kolejno. Witają się kordjalnie/.

Szumlańscy /para staruszków 60-70 lat i trzy córki, stare panny na koszu od 35-45 lat, ubrane na "młodo" i krygujące się po "panieńsku"/

Szumlański: Witamy, witamy. Zrobiliśmy najazd - z całym domem - ze wszystkiemi "pociechami". /Powitania; starzy siadają przy pani domu; "córeczki" garną się do młodych. Elżunia, Madzia, Roman, ciągle kleji i z trudnością przeto się wita, dopóki mu wreszcie tej roboty Elżunia nie odbierze/.

Ksiądz Proboszcz/zażywny, jowialny, wódeczność i karcięta lubiący/: Laudetur Jezus Christus.. Pani Dobrodziejki sługa uniżony w Chrystusie, który się nam znowu urodził w stajence lichej. /Wita się z innymi./ Mrozik mamy staropolski, jak być powinno. A gdzież Pan Dobrodziej, głowa gospodarstwa domowego?

/Jeszcze nie domówił - a oto pan Rozbierski wychodzi przebrany do gości./

S c e n a s z ó s t a .

Ciż i Rozbierski: Jestem, jestem, do stópek wszystkim, panie dzie-

ju, się ścielę i za opóźnienie przepraszam. /Wita kolejno wszystkich./

Ks.Proboszcz: Tak już bodaj komplecik byłby..

Rozbierski: Ks.Proboszcz chciałby już zagajić uroczystość: incipiamus in Domine Déi... Ale kompleciku, panie dzieju, jeszcze niema. Zatem, panie dzieju, tylko prowizorycznie możemy przypić a przytem, opowiem wam, panie dzieju, jakich gości jeszcze oczekujemy. /Prowadzi proboszcza i Szumlańskiego do ustawionych butelek, częstuje i opowiada./

/Panowie przy"bufecie" w głębi, piją wódkę, Rozbierski opowiada półgłośno epizod poznania Borskiego u "Karpia"; Rozbierska i Szumlańska w rozmowie z prawej strony - cała "młodzież" z lewej w pobliżu drzewka./

Elżunia /do Romana, komenderując/: Teraz pan Roman już te łańcuszki zostawi - i pójdzie sobie umyć łapki. My je /łańcuszki, nie łapki/ zawiesimy tymczasem na drzewku.

Roman: Tak jest, panno..Elżuniu /wychodzi, potem powraca/.

Elżunia /z Madzią zawieszają papierki - spojrzeniem ogarnia całą scenę - raczej do siebie/: I to ma być mój światek; i w tem mi każą żyć - do końca.

/Słychać sygnał zajeżdżającego auta/

Rozbierski: O wilku mowa. Pewno nasz, panie dzieju, "gwiazdor". "Minerwę" ma, mówię wam - palce lizać.

Szumlański: Niepojęte cuda! Co takiemu bieda zrobi? Czy to mu ciągle żyto spada i wieprze, za przeproszeniem, sprzedawać musi za bezcen i wogóle dewastować inwentarz, na podatki. Ostatnie, za przeproszeniem, portugalje ściągną w tej - wolnej Polsce. A taki - niepojęte cuda! Nie sieje, nie orze. Wszystko ma tu /pokazuje na krtań/ - każdy tryler na wagę złota. Niepojęte cuda.

/W rozmowie podchodzą w stronę drzwi wejściowych, przez które wchodzi dwóch panów w smokingach, mniej więcej w równym wieku pod

50-tkę, zatem niewiele młodsi od Rozbierskiego: Walery Stawski, sąsiad, człowiek po świecie bywały - i Henryk Borski, sławny tenor./

S c e n a s i ó d m a .

/Nowych gości pan domu wprowadza uroczyście, przedstawia tenora paniom a innych tenorowi, sadzają go w pośrodku, niby "cercle", inni w półkolu, patrzą niby na osobliwość./

Rozbierski /przedstawiając/: Pan Henryk Borski, nasza sława świa-
towa. Od lat nosi chwałę Polski po świecie, panie dzieju, jak mon-
strancję - od lat.

Borski: Nie mówmy o latach. Jest ich niemało - na emigracji,
poza krajem. Robi się, co można. /Sadzają go w pośrodku, w ugrupo-
waniu, jak wyżej.-Pozy i miny ensemblu do wypracowania reżyserskie-
go.- Konwersację zaczyna ks.proboszcz./

Ks.Proboszcz: Pan Dobrodziej z szerokiego świata - a przecie
zatęsknił do ojczyzny?

Borski /przemawia z pewnym odcieniem nonszalancji, na ogół ta-
nią, kabotyńską frazeologją popsutego powodzeniem tenora/: Tak, po
raz pierwszy od wielu lat spędzam święta w kraju. /Zwracając się do
Stawskiego/ Kolega Stawski otworzył mi swój gościnny dom...

Stawski /w rozmowach z Borskim nie bez lekkiego odcienia ironji/:
Kolega Borski raczył zaszczycić niskie moje progi, chociaż wielki
świat wyrywa go sobie z rąk do rąk.

Borski: Jednakże, zawsze o tej porze, gdy zbliża się wieczór
wigilijny a wraz z nim wspomnienia lat sielskich, anielskich - coś
ściska pod sercem, nawet nawykłem do obczyzny, innych obyczajów,
wielkich prądów, szerszych przekrojów życia...

Stawski: ...i króle pośpieszyli do stajenki betleemskiej - między
osły i woły.

Ks.Proboszcz: Tak, tak, Polska to wielka rzecz - słusznie powie-
dziano. Chociaż to u nas ubogo i głucho, zwłaszcza na wsi podgór-

skiej, zawianej śniegiem nietylko w zimie - rozumie Pan Dobrodziej?

Szumlański: Chuda fara, panie, co tu dużo gadać - i jak tak da-
lej pójdzie w tej wolnej Polsce... A jak tam u was, niby w Europie - kryzys?

Szumlańska: Ależ Ildefonsie! cóż pana obchodzi kryzys? Przecie pan jest - z teatru.

Borski /do Szumlańskiej/: Kryzys, szanowna pani, jest wszędzie, owszem, nawet w teatrze i także - w Europie. No, nie wszyscy go odczuwają.

Rozbierski: Oczywiście, panie dzieju, nie artyści, nie wielcy artyści. Tym dobry Pan Bóg dał żyłę złota, panie dzieju, w ręce.

Ks.Proboszcz:Dar Boży, panie dziedzicu, łaska Boża.

Szumlański /ciągnie dalej ze swej beczki/: Niepojęte cuda! Dawniej w święta Bożego Narodzenia pieczone indyki, łaskawco, kładziono rzędem na stół, tradycja Radziwiłłowska kwitła, kulig w sto pań zajeżdżał. Dziś, nie przymawiając, tylko najbliżsi sąsiedzi i to każdy po kolacyjce, na herbatkę. Niepojęte cuda! I to się nazywa - sanacja.

Rozbierski: Ale serca są, temperamenty, panie dzieju, są, obyczaj się chowa - a i flaszka niezgorszego węgrzyna jeszcze się znajdzie.

/Służba w wyszarzanej liberji i nicianych rękawiczkach obnosi dary Boże./

Pod okna podchodzą kolędnicy z gwiazdą, kolędą i życzeniem dla gospodarza. Wszyscy wstawszy podchodzą w tę stronę.

Borski: To piękne - to wzrusza. /Półnucąc:/ "Pomnę dzieciństwa sny niewysłowne..."

Elżunia /o której wyjątkowo zapomniano i sam Borski dotąd żadnej na nią nie zwrócił uwagi - po odejściu kolędników, rezolutnie, dyrygując Romanem i Madzią/: A teraz sobie zaświecimy drzewko i sami zakolendujemy. Mamusia nam zagra.

Tak się dzieje: świeczki na drzewku zapalono, pani Rozbierska przy klawikordzie, rozbrzmiewa z większym zapałem, niż czystością "Bóg się rodzi". Elżunia dyryguje i sama najwięcej drze się w niebogłosy.

Borski /trochę się krzywi od fałszów, ale nie jest bez wzruszenia. Elżunię jakby dopiero teraz dojrzał; do Stawskiego/: Co za rozkoszny buziak!

Stawski: Dla nas to już zielone winogrona. Panienka i ładna i nie bez talentu. Słyszałem, jak deklamuje - wcale, wcale. Nawet grała w teatrze amatorskim. W stosunku do rodziców wygląda jak młode kacze, które pływa po domowym stawku. Ojciec-kogut, pieje głośno na brzegu, matka-kwoka już i gdakać się boji. Ale poza ten stawek jej nie puszczą.

/kolęda się skończyła - Borski podchodzi do Elżuni./

Borski: Słyszałem, że pani jest artystką. Deklamuje, nawet występuje w teatrze; zatem - koledzy. /Wyciąga rękę do koleżeńskiego uścisku./

Elżunia /trochę nieśmiało/: Tak, trochę - w domu, dawniej w szkole - w zakopiańskiem kółku...

Borski /chcąc jej zrobić przyjemność/: A gdyby, ~~xxxxxxxxx~~ gdyby kolega-emigrant poprosił o wierszyk?

Elżunia /broniąc się/: Ach nie, cóż znowu...gdzieżbym ja przy takim artyście...

Borski: Artysta jest spragniony polskości. Po wielu latach po raz pierwszy wpadł do Soplicowa - i chciałby się nadyszeć ojczyzny, zanim los popędzi go dalej pomiędzy obcych. Wrócił do swych dziecięcych wspomnień, dotknął się łona matki-ziemi i sam poczuł się młodym, bardzo młodym. Przeżył na nowo polskie Boże Narodzenie, spotkał polską "wiochnę". Jest oczarowany. Ma sposobność posłyszeć polski wierszyk z ust polskiej "wiochny". Coś z najnowszej poezji polskiej - tej niestety nie znam. Czyż godzi się odrzucić prośbę

ZARZĄDU MIEJSKIEGO
w król. stoł. m. Lwowie

pokorną, najpokorniejszą, złożoną do tych stópek, do tych prześlicznych stópek... Prosi biedny wygnaniec z Polski.

Elżunia /jest oszołomiona, ale i wzruszona ~~tak~~ treścią, jak i formą prośby/: Dobrze, powiem. /Odzyskując rezon/ Ale pod jednym warunkiem: pan nam zato potem zaśpiewa. Wiem, to jest cena olbrzymia, lichwa niebywała: za mój wierszyk - śpiew, który porusza światem. Ale pan nam zaśpiewa. Pan zaśpiewa w tym skromnym, cichym polskim domu, za którym pan tęsknił. Z królewskiego płaszcza swej sztuki zostawi nam pan jeden klejnot na pamiątkę.

Borski /wcale niezachwycony/: Prywatnie nigdy prawie nie śpiewam. Całkiem wyjątkowo, na bardzo wielkich przyjęciach, w ambasadzie, u Rotschildów /poprawia się/. Oczywiście przyjęcie u państwa stawiam w rzędzie najwyższych - i gdy pani sobie tego życzy. Zobaczymy. Obiecuję na pół. W każdym razie naprzód wierszyk - dla mnie i bezinteresownie. Czy mogę publicznie zapowiedzieć występ?

Elżunia potakuje.

Borski /podchodzi na środek/: Proszę o głos. Mam zaszczyt zakomunikować, że panna... jedynaczka domu przyobiecała mi łaskawie deklamację z najnowszej poezji polskiej.

/Wszyscy, przeważnie z obowiązku,"brawo", "doskonale" i t.p./

Szumlański /podchodząc do proboszcza/: Obawiam się, że nasz bridż djabli ~~wzięli~~ wezmą. Teraz słuchaj grzecznie domowego popisu; potem niewiadomo, co jeszcze nastąpi. Niepojęte cuda! Może i sam tenor kwilić zechce.

Ks.Proboszcz /mitygując i tłumacząc/: Z osobą naszego gościa z zagranicy musimy się liczyć. Póki jest między nami, o bridżu niema mowy. Chyba żeby sam zechciał zagrać?

Szumlański: Czy tak inteligentna gra jest wogóle dla tenorów?

Tymczasem Elżunia stanęła do deklamacji, reszta usadowiła się w odpowiednich pozach i słucha każdy inaczej, poczynając od niemego zachwytu rodziców, Madzi i Romana, poprzez doskonałą obo-

jętność księdza, głupawą zazdrość panien Szumlańskich i groźne niebezpieczeństwo drzemki u starych Szumlańskich. "Inteligentnie" słuchają Stawski i Borski; ten ostatni zrazu z grzeczną desinwolturą, potem z coraz widoczniej rosnącem zainteresowaniem, w miarę jak Elżunia, pokonawszy początkową tremę, mówi lepiej, dobrze i bardzo dobrze, ogarniając pod koniec szczerym fluidem sztuki Borskiego-aktora. Deklamuje wiersz Iłłakowiczównej, Pawlikowskiej lub inny, zależnie od indywidualności aktorki. Po skończeniu zdawkowe brawa i gratulacje. Tylko Borski nie bije brawa. Po chwili podchodzi do Elżuni wzruszony.

Borski: Nie chcę być banalny. Dlatego nie oklaskuję i nie gratuluję. Powiem pani jedno - szczerze i poprostu. Pani ma talent. Pani, z temi warunkami, może być artystką, artystką nietuzinkową, może nawet zupełnie niepospolitą. Pani powinna się kształcić w dobrych rękach, może nawet nie w Polsce, gdzie o mądry kierunek i prawidłowy rozwój bardzo trudno. Mówię to z własnego doświadczenia.

Elżunia /rozgrzana deklamacją i słowami uznania z "takich" ust/: Tak, bardzo kocham wiersze, scenę, nawet tę malutką, amatorską. Nie umiem tego opisać, co czuję, kiedy deklamuję. Ogarnia mnie wówczas wzruszenie, takie inne, niż kiedykolwiek, wielkie, czyste - święte. Słowa biegną niby same po najwyższej fali uczucia, i, choć obce, są niby moje, tak z najgłębszych warstw duszy płynące...

Borski: Pani ma talent i pani ma ogień zapału, który pali młodość a gasi - życie. I pani tego nie wmówiono, ani sobie pani sama nie wmówiła, jak tyle innych ludzi na progu życia. To widać. Pani to w sobie nosi od dawna, może od urodzenia - pani jest artystką "urodzoną". Dlatego, powtarzam, trzeba się uczyć i kształcić i iść naprzód drogą, zaiste cierniową - do sławy.

Elżunia /smutno/: To niemożliwe. Na to się nigdy nie zgodzą. To mi wolno tylko w ciasnym, małym domku, jako nieszkodliwą namiętność, o której sądzą, że z wiekiem zagaśnie a w każdym razie

nie przekroczy ram, zakreślonych konwenansem, tradycją - przesądem.

Borski: Ależ talent, słyszała pani, dar Boży. Tego nie wolno zmarnować. To jest głos natury, głos krwi - pani nie wolno mu się sprzeciwiać, gdyby nawet pewne ofiary były konieczne. Sztuka wymaga zawsze ofiar - artysta rośnie przez cierpienie. Widzi pani - i ja kiedyś musiałem opuścić wszystko, kraj, swoich, odejść daleko, rozbić gruby mur obcej niechęci, niedowierzania, oporu masy. Każdy musi pokrwawić sobie ręce, zanim dosięgnie szczytu - a mało kto dosięga. W panią wierzę - to widać w oczach, głosie, ruchu. Nawet chętnie bym pomógł. Pani zna języki? - mogłaby pani przyjechać do mojego miasta, na studja - mam stosunki - będę przyjacielem, doradcą, no - mecenasem - bez żadnej, bez żadnej na Boga! arriere pensée - jedynie dla rodaczki, w którą wierzę, dla chwały Polski, której służę. Pani to musi zrobić. Pani musi przekonać rodziców, złamać ich uprzedzenia, za wszelką cenę. Dla sztuki nie jest żadna cena zbyt wygórowana - to ja pani mówię, stary aktor. Pani rodziców może zmartwi, pewno i bardzo zmartwi - ale za kilka lat pani ich opromieni taką sławą swojego wzlotu, o jakiej nie mają pojęcia. Pani to musi zrobić - nawet wbrew nim, a przecie - dla nich.

/Dłuższe milczenie - Elżunia z trudem wraca do siebie, do "małego domku" z pokusy lotu w nieznane./

Elżunia: Obiecał pan zaśpiewać, prawda? /już ożywiona i naturalna, prowadzi Borskiego w stronę fortepianu/ Fortepjan, jak pan widzi, nie ostatni model, ale na święta strojony. Sama panu zaakompanjuję /przeglądają tekę z nutami/. I nuty nie najnowsze, jak wszystko u nas. Ale przecież coś wybierzemy, prawda?

Borski /ciepłym tonem zawodowego "uwodziciela"/: Tylko dla pani - dla przyszłej, wielkiej artystki. /Szperają w nutach./

Szumlański /do księdza/: A co, nie mówiłem? tenor przy fortepianie! Niepojęte cuda - pewno śpiewać będzie; a z naszego bridża - nici.

Ks.Proboszcz: Rzeczywiście /w stronę Stawskiego/. Pan Borski bę-

dzie śpiewać?

Stawski: Rzecz nie zwykła, ale coś mi się tak widzi. Sam go jeszcze nigdy w oryginale nie słyszałem - co najwyżej z płyt gramofonowych. I mówił mi, że nigdy z zasady na prywatnych zebraniach nie śpiewa. Działają tutaj widocznie przemożne wpływy - krajowe /pod adresem Elżuni/.

Tymczasem już wszyscy wstępne przygotowania do śpiewu zauważyli, zwracają się w tę stronę, częściowo podchodzą.

Borski /wybrał nuty i sam je rozkłada na pulpicie, poczem siada i próbuje kilka akordów/: "Gdybym był młodszy dziewczyno"...stara pieśń Galla do słów Asnyka. Przypomina mi dawne, dawne lata i pierwsze "popisy" śpiewacze przed odejściem z kraju. Przypomina mi młodość, jak wszystko w tej chwili - i w tym domu. Spróbujmy.

Elżunia siada do fortepjanu i zaczyna przygrywkę; wszyscy ugrupowani do słuchania. Borski, tyłem do widowni.

Gdy kurtyna zwolna zapada, rozlega się pieśń Galla i trwa aż do końca już poza zapuszczoną zasłoną, poczem i brawa zebranych w starym domu dolatują na widownię.

K O N I E C I. A K T U .

A K T I I /

"Dancing w Zakopanem."

/Muzykę słychać przed odsłonięciem zasłony./

Dancing w Zakopanem. Five o'clocke. W głębi jazz-band. Wejście w głębi z prawej strony. Dookoła pod ścianami na podwyższeniu "boxy" i stoliki, ~~xxxxxxxxxxxxx~~ każdy z kolorową lampką; poniżej na "parkiecie" stoliki, częścią zajęte, częścią opuszczone przez tłum tańczących na środku, zwarty ściskiem, sklejony potem, drobiący niemal w miejscu nogami w rytm szybkiej "rumby", którą muzyka rżnie właśnie od ucha do ucha.

Koniec "rumby"; z tłumu okrzyki: "mało".. "mało".. - tym razem bezskuteczne, bowiem już powtarzać nie będą.

Pary rozchodzą się i obsiadają gęsto stoliki - z wyjątkiem dwóch sąsiadujących "boxów" wolnych i karteczkami "zajęte" zabezpieczonych.

Nad "etykietą" czuwa "dyrektor" dancingu, pan jakikolwiek, byle w zapięty dokładnie żakiet i wysoki kołnierzyk ubrany. On rozsadza, zleca, wskazuje, konferuje z kelnerami i orkiestrą, podbiega i wybiega.

Goście ubrani rozmaicie, zasadniczo tworzą dwie kategorje: miejscowych i przyjezdnych z różnych dzielnic Polski: pierwsi naogół w sportowych lub narciarskich strojach /chociaż w góry nie chodzą/ - drudzy różnie, nie wyłączając i wieczorowych ubrań. Tłum ten powinien być zróżnicowany, zindywidualizowany i w tańcu i w rozmowach przy stoliku /plotki, plotki!/, najlepiej według zdjęć z natury, których obficie dostarcza zakopiański dwunastogodzinny dancing.

Jest dłuższa pauza pomiędzy tańcami. W pewnej chwili rozchodzi się po sali senzacyjny szept, szpikowany okrzykami: Borski.. Borski..

Wszyscy wychylają się i częściowo wstają - w stronę wejścia, gdzie popędził "dyrektor", ażeby rozbijać utworzony tamże u wejścia ~~xxxxxxxxx~~

momentalnie zator ciekawych.

Jakoż wydobywa ze ścisku Borskiego i kroczącego poza nim Stawskiego. Obaj przebijają się przez szpaler, Borski co chwilę zatrzymywany wyciągniętą ręką po autograf. Podpisuje wszystkim, na kartkach, biletach, i "sztambuchach" - nawet i dalszym, wołającym z tłumu "proszę i mnie".. "i mnie",, /oczywiście kobiety/.

Uwolniwszy się jako tako, kroczy już wolniejszym szpalerem przez salę, prowadzony do jednego z rezerwowanych stolików przez "dyrektora"; zamyka pochód Stawski.

Na mrugnięcie "dyrektora" jazz-band wali trzy razy "tusz" - słychać oklaski i brawa - wreszcie Borski i jego towarzysz zajmują swoje miejsca w boksie, jednakże cały akt nie przestaje być Borski centralnym przedmiotem obserwacji wszystkich, co przyjmuje ze swoim "reprezentacyjnym" uśmiechem, odpowiadając lekkim ukłonem na poszczególne objawy uznania.

S c e n a p i e r w s z a .

Borski. Stawski.

Stawski /ocierając spocone czoło/: Że cie też to wszystko razem wkońcu nie znudzi.

Borski: Cóż robić, mój drogi. To jest beneficium inventarii t.zw. popularności śpiewaka. Tego nie wolno mi ani odrzucać, ani nawet zaniedbać.

Stawski: Podziwiam ciebie, jak cierpliwie, rzekłbym ulegle przyjmujesz każdy wylew tej mętnej fali kabotynizmu. Przecie to już nie ma nic wspólnego ze sztuką wogóle, a twoją specjalnie. Benewolencji tłumu już chyba kaptować nie potrzebujesz.

/Tymczasem na sali nie tańczą, muzyka bowiem zaczęła grać, widocznie na cześć tenora, potpourri z "Halki"; w tej chwili też dancingowy "boy" /liberja/ podchodzi do Borskiego z pękiem kwiatów i kolorową różową kopertą na tacy. Borski odbiera kwiaty i bilet, wą-

cha tenże i nie czytając chowa do kieszeni - poczem ciągnie dalej na rozpoczęty temat, popijając przez słomkę przyniesiony już przedtem dla obu napój./

Borski: Niezależność artysty od tłumu jest zawsze problematyczna. Osobiście ani ja, ani, jak myślę, żadem wielki aktor, w taką niezależność nie wierzy, choćby ci do ucha powiedział, że "pluje na to". W rzeczywistości nigdy nie przestanie kłaniać się p.t.publiczności jak najuniżeniej. Wiesz o tem zapewne, że największe "gwiazdy" i "gwiazdory" kinowe nie pozostawią bez odpowiedzi najgłupszego listu, który napisał w Pipidówce piątoklasista, czy też podfruwajka, o zawróconej ekranem główce. Dla tego celu trzymają sobie osobno sekretarzy, stosy zdjęć, gotowe teksty: "Wzruszona (y) słowami uznania.. i t.d. To jest poprostu sprawa handlowa, nic innego. Korzenie sławy tkwią w tłumie, jak w glebie - a ta gleba jest kapryśna. Daje, ale i wymaga pochlebstw.

/"Boy" przynosi nową wiązankę - i nowy, tym razem niebieski /tamten był różowy/ bilecik; Borski czyni, jak wyżej, z ciągle takim samym w tych razach uśmiechem "reprezentacyjnym"./ Zwłaszcza kobiety - a te rządzą nami, w tej dziedzinie więcej, aniżeli w jakiejkolwiek innej...

Stawski. Ależ to jest histerja, choroba zarówno nerwów jak zmysłów, brzydki, naskórkowy wyprysk...

Borski: Naturalnie, masz rację. Naskórek. My tenorzy, nasz głos, działa przedewszystkiem na naskórek, o wiele rzadziej na czyste wyczucie piękna. Nasz głos trafia gorącą falą w nerwowe centra, budzi uśpione pożądanie, niekiedy moralnie - defloruje... To jest nasza siła - ale często i słabość. Infekujący sam się zaraża. Wtedy - koniec Hannibala, czy Antoniusza u boku Kleopatry...

/Dłuższa przerwa w rozmowie. Muzyka przestała już grać "Halkę" - gra obecnie Jana Maklakiewicza bostona z "Chama" "Adieu, bądź zdrów.." - skłębiony tłum kolebie się znowu w pośrodku./

BIBLJOTEKA TEATRU WIELKIEGO ZARZĄDU MIEJSKIEGO w król. stol. m. Lwowie

Stawski: Nie wiem dlaczego, ale te twoje rzymskie porównania przypomniały mi sprawę całkiem bieżącą, niezbyt miłą... Jednakże uważam za swój obowiązek zwrócić twoją uwagę.. w najszczerszym, najbardziej przyjacielskim duchu.. Poznałem ciebie ze starym Rozbierskim i do pewnego stopnia przeze mnie wszedłeś do ich domu..

Borski /niespokojnie/: Więc?

Stawski: Powiem szczerze, że nie rozumiem ciebie. Przyjechałeś do kraju na wypoczynek - przyjmują cię tu wszędzie jak triumfatora /bardzo się cieszę/ - i u Rozbierskich, poczciwie, na starą modłę, bez "naskórka", ale z cenniejszem o wiele sercem..

Borski: No i?..

Stawski: Mówiłeś mi wyraźnie, że uciekłeś przedewszystkiem od kobiet - że w twoim, w naszym wieku, trzeba już przestać być lekkomyślnym, zwłaszcza gdy posiada się skarb tak kruchy, jak głos tenora - że zatem, prawda? mógłby grozić los Hannibala czy Antoniusza..

Borski: Nie wiem, do czego zmierzasz, i nie rozumiem, po co te ogródki..

Stawski /zdecydowany/: I czego ty właściwie chcesz od tej dziewczyny.. Rozbierskiej?

Borski /niby nie rozumie i niby urażony/: Znowu nie rozumiem pytania. Panna Rozbierska jest miły, utalentowany dzieciak..

Stawski: Przecie wiesz, że ty nigdzie nie możesz się schować. Klęska popularności. Już i góralczyki biegają za tobą po Krupówkach, pokazując palcem, jak jakie zamorskie dziwo. Twoje schadzki z Rozbierską - to w Kuźnicach, to w Jaszczurówce, to dalej - w Kościeliskiej i Morskiem Oku, zawsze en deux - a na zewnątrz "Minerwa" jak słup ognisty ogłasza wszem obec, że sławny tenor ma znowu randkę z panienką ze dwora.. Nawet nie starasz się tego ukryć. Całe Zakopane, największa centrala plotek w Rzeczypospolitej, o niczem innem nie mówi..

Borski /tonem urażonym jak wyżej/: Nie mam się z czem taić, cho-

ciaż te spotkania, o których mówisz, są niemal zawsze - przypadkowe. Panna Rozbierska zrobiła na mnie odrazu wrażenie, przyznaję - ale przedewszystkiem przez swój talent, którego istnienie w późniejszych, przypadkowych spotkaniach stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość. Spotykamy się obustronnie bardzo chętnie - ja z radością, z czysto akademicką radością "odkrywcy" - ona, ponieważ mam zaszczyt już cieszyć się jej zaufaniem - i ponieważ ma wrodzoną pasję do teatru i pociąg do szerszego powiewu, rozległych horyzontów, które przed nią odsłaniam.

Stawski. Ależ, daruj,. w jakim celu to robisz? Przecie nie masz zamiaru, nie możesz mieć zamiaru - żenić się? A w tym wypadku wszelka inna droga byłaby - niegodziwa.

Borski: Myślałem, że bodaj ty jeden nie jesteś prowincjonalistą. Wszak studjowałeś zagranicą.. W jakim celu?.. przecie nie wszystko robi się w życiu "w jakimś celu"! Przeciwnie: co przyniesie przypadek, co nie jest zgóry przewidziane, ukartowane, co nie posiada właśnie widocznego "celu" - to bywa często najmilsze. /Trochę cynicznie/ Pour passer le temps!

Stawski: W tym wypadku ta recepta, zresztą zawsze wątpliwej wartości, nie może mieć zastosowania. Panienka jest egzaltowana - igrasz z ogniem, od którego sam się możesz zapalić. A w każdym razie psujesz jej "reputację". Czem jest "reputacja" na tym naszym, jakm sam widzisz, partykularzu i w tej sferze ziemiańskiej - tego może dobrze nie rozumiesz, dlatego cię ostrzegam: stanowi ciągle jeszcze bardzo poważny element w karjerze życiowej.

Borski: To są wszystko prowincjałki, których ja przecie nie mogę uznać. Młoda osoba, o którą, nie rozumiem dlaczego, tak bojujesz - chociaż nic jej nie grozi - podziela całkiem moje zdanie. Jest jak rajski ptak, zamknięty w klatce ciasnych poglądów. Ja jej drzwiczek trochę uchylam i prąd świeżego powietrza ze świata wpuszczam. Ot i wszystko - powinna być mi za to tylko wdzięczna..

Stawski: No tak, ale co będzie, gdy wyjedziesz? Nie sądzisz, że w swej "klatce" będzie się czuć o wiele gorzej? I wogóle - co nazywasz "klatką"? Czyż klatka, to nie znaczy życie i czy każdy z nas nie żyje w klatce? I ty także - w pozłacanej... I poco burzyć spokój dziewczynie, której teatrem i poezją już i tak przewrócono w głowie ku zmartwieniu tych starych, poczciwych rodziców, tak nieprzytomnie zakochanych w swej jedynaczce... I poco to wszystko? Gdy wyjedziesz, pozostanie w sercu dziewczyny niby gorycz zawodu i nieukojenia rozbudzonych pragnień - i to mrowisko plotek, z kijem wbitym w środek...

/Gdy Stawski kończy, zbliża się do ich stolika reprezentantka miejscowej opinji publicznej, redaktorka "Przełęczy", krótka, gruba, czerwona, z cwikrem na grubym, wydatnym, garbatym nosie/.

Stawski /nie kończąc/: Nieszczęście! kij z mrowiska wali na nas ... sauve qui peut!.. zapóźno.. /Muzyka gra w tej chwili starego walca Straussa "An der schönen, blauen Donau"/

Bierowa /poszwargotawszy po drodze przy różnych stolikach - podchodzi do boksu - i skrzeczy szybko, nie dając sobie przerwać/: Bierowa jestem, redaktorka "Przełęczy" /chwyta Borskiego za rękę i potrząsa kilka razy, toż potem ze Stawskim/. Z panem Walerym Stawskim znamy się oddawna. Podhalanin. Prenumerator naszego dwutygodnika. Stu tysięcy nakładu nie bijemy - trochę mniej. Ale jakość, jakość, poziom - i jakość czytelników! Nie chodzi nam o ilość. Dla masy wystarczą kurjerki. My docieramy do tej najwyższej setki, elity umysłowej Podhala.. Panowie pozwolą? /nie czekając zgody sama dźwiga krzesło i przysiada się w boksie, od czasu do czasu wodząc triumfalnym wzrokiem po sali. Skrzeczy dalej, choć obaj panowie niezbyt grzecznie bokiem od niej odsunięci/. "Przełęcz" trzyma rękę na pulsie tej najgórniejszej, najbardziej wytwornej opinji naszych Tatr /sama jest w ubraniu zaprzeczeniem wszelkiej wytworności/. I właśnie dlatego, gdy przyjechała nasza zagraniczna chluba, chwała Pol-

ski jeszcze okutej w powiciu a dziś wyzwolonej, mocarstwowej... nasz Jontek, nasz Lohengrin, nasz Radames, nasz.. nasz.. Puccini.. Właśnie dlatego my pierwsi, "Przełęcz" pierwsza, zamieściliśmy wielki artykuł wstępny i fotografję z lat dawniejszych, bardzo efektowną... Sama pisałam artykuł, trochę naślepo, brakowało mi dat, dokładnego repertuaru, poszczególnych faz karjery zagranicznej, ilości występów, wysokości gaży - coś ze spraw intymnych, zwłaszcza intymnych, ażeby tę sławę pokazać czytelnikowi nietylko w blasku kinkietów, w szmince - ale i w domu, niby prywatnie, w pidżamie, cieplej, serdeczniej - przybliżyć go maluczkim, może nawet pomniejszyć, "odbronzować" - to teraz modne - a przez to niejako rozszerzyć dostęp do tej skądinąd świątyni sztuki, której arcykapłanem jest pan Borski... /przerywa, ponieważ musi złapać oddech - i muzyka też przerwała, zaczem publiczność wraca na miejsca i obserwuje stlik Borskiego/.

Bierowa /skrzeczy dalej, nie doczekawszy się żadnego słowa zachęty/: I właśnie z tego powodu pozwoliłam sobie jako przedstawicielka miejscowej prasy, siódmego mocarstwa /po Polsce/, inkomodować panów w tym lokalu zabawowym, niejako publicznie, niech wszyscy widzą, ile że pan Borski to przecie "bonum publicum".. Pozwoliłam sobie inkomodować naszego "gwiazdora", korzystając z tego, że nie tańczy - czy nasz tenor wogóle nie tańczy? /muzyka zaczyna grać stare argentyńskie"tango"/ - i korzystając z tego, że znajomy obywatel, pan Stawski, czytelnik "Przełęczy" siedzi z nim - postanowiłam przystąpić i poprosić naszą sławę o - wywiad?

/Bierowa wyjmuje notes i ołówek, poprawia cwikier. Borski dłuższy czas milczy - wkońcu cedzi przez zęby/

Borski: Przyjechałem do kraju na wypoczynek..

Bierowa /przerywa, notując/: W tej chwili /pisze/:"Znakomity tenor przyjął nas z prawdziwie wersalską uprzejmością a na propozycję wywiadu odpowiedział z czarującym uśmiechem, że stoi zawsze do usług

czytelników "Przełęczy", która jest jego ulubionym organem w dalekich zagranicznych, triumfalnych tournée, dokąd zawsze każe sobie posyłać nasze czasopismo. Henryk Borski przyjechał do kraju na wypoczynek..."

/Podczas tego notowania weszli do sali: Elżunia, Madzia i Roman - "dyrektor" kieruje ich ze znaczącym uśmiechem do obok rezerwowanego boksu. Borski posyła Elżuni ukłon z oddali - poczem wstaje, wysuwa się chyłkiem, przechodzi do boksu Elżuni, wita całą trójkę i przysiada się do stołu/.

S c e n a t r z e c i a .

Stawski i Bierowa.

Bierowa /nad notesem, jest krótkowzroczna, więc pisze nisko pochylona, powtarza/: "przyjechał do kraju na wypoczynek.." /czeka na dyktat pochylona; nie doczekawszy się, podnosi głowę i widzi puste krzesło/ A gdzież nasz tenor?! /wodzi okiem po sali - dostrzega Borskiego w boksie obok, przy Elżuni/.

Bierowa: No naturalnie.. panna Rozbierska /patrzy i nadsłuchuje - poczem nachyla się w stronę Stawskiego/ I co pan o tem sądzi? Będzie ślub, czy - uwiedzenie? Całe Zakopane opowiada sobie o tem na ucho. Właśnie byłam na herbacie u doktorowej...

Stawski /przerywając/: nic a nic mnie to, łaskawa pani, nie obchodzi.. /woła/: Płacić!

Bierowa /zrywa się od stołu, obrzuca Stawskiego "piorunującem" spojrzeniem, głośno/: Impertynent!.. /odchodzi z gestem urażonej królowej/.

/Stawski po chwili płaci i wychodzi, nie patrząc w stronę Borskiego. Jego stolik zajmują trzy zakopiańskie "paniusie", spozierające w stronę boksu Elżuni i obgadujące zawzięcie. Muzyka gra znowu boston "Adieu, bądź zdrów.."./

BIBLJOTEKA TEATRU WIELKIEGO ZARZĄDU MIEJSKIEGO król. stoł. m. Lwowie

S c e n a c z w a r t a .

W boksie Elżuni.

Roman prosi Madzię do tańca, patrząc smutnie na Elżunię. Pozostają Elżunia i Borski.

Borski /półszeptem i ku niej nachylony/: Zatem.. tak jak umówiliśmy. Dziś w nocy podjadę autem do furtki na tyłach ogrodu..

Elżunia: Tak się boję.. tak się okropnie boję..

Borski: To trzeba przełamać. Chyba że pani woli ostatecznie przez całe życie kury macać..

Elżunia: Ach nie, nie!..

Borski: Zatem. Ja pani, panno Elzo, zresztą nie namawiam. Postąpi pani, tak jak sama uzna. Pani jest osoba dojrzała. Tylko mi pani żal, serdecznie żal - z takim talentem, z takiemi możnościami, pozostać na zawsze na tym szarym zagonie pospolitej, przyziemnej egzystencji...

Elżunia: Tak, rozumiem, czuję to oddawna. Panu jestem wdzięczna za ofiarowaną pomoc..

Borski: O wdzięczności mowy niema. Ja to pojmuję, jako spełnienie naturalnego obowiązku. Spotkałem w kraju, w tym kącie, zdala od świata - iskrę Bożą, którą dusi klimat, otoczenie, warunki. Los mi kazał, jako artyście - rozdmuchać, nic innego, rozdmuchać - a w konsekwencji zaofiarować pomoc, wyciągnąć ratowniczą rękę w imię Sztuki, której służę - ale i dla przyszłego dobra kraju, narodu...

Elżunia: Wiem, wiem.. /powtarza/ bardzo jestem wdzięczna - cóż bym zrobiła bez pana?

Borski: Gramy w otwarte karty - nic tu nie jest tajne, nic zakryte. Gdyby rodzice zgodzili się dobrowolnie, to co innego. Ale, nie zgodzą się. Zatem nie pozostaje nic innego, jak odejście, narazie, bez pożegnania - po angielsku. To się przecie robi nieraz, dla o wiele błahszych przyczyn. Tylko na zewnątrz wygląda to trochę - ekscentrycznie, przyznaję, zwłaszcza wedle miejscowych pojęć.

Elżunia: Tak, tak.. pan ma słuszność. Tylko teraz, gdy to wszystko mam opuścić, i to pokryjomu, jak złodziej - żal mi, niewypowiedzianie mi żal. I tych gór, i tego starego domu, w którym się urodziłam i wzrosłam i nadewszystko - rodziców, drogich, kochanych, jedynych.. Odczują to jako cios, ciężki cios, wielką krzywdę...

Borski: I ja to odczuwam, rozumiem - dlatego sam pani radziłem namysł: stary dom - albo sztuka. Jednak, słowo honoru pani daję, pani przesadza panno Elzo, pani bardzo przesadza. - Zapewne, rodzice się zmartwią - c'est la vie! - ale pani do nich napisze. Zaraz z pierwszego postoju. Pani napisze, że pani odjechała sama, dobrowolnie, bez żadnej namowy i nacisku. Pani wyjechała na studja, kształcić się zagranicą - jak tyle dziś panienek w pani wieku. Że owszem, z Borskim pani mówiła - że pani obiecał wystarać się o lekcje, o chleb codzienny - że będzie nad panią czuwać, jak przyjaciel, jak stary przyjaciel domu.. Zobaczy pani: ten list całkiem ich uspokoi. Zrozumieją dobre intencje pani-i moje. Będą czekać cierpliwie powrotu jedynaczki, która przybędzie na święta Bożego Narodzenia do starego domu w promieniach sławy..

/Muzyka przestała grać bostona./

Borski /szybko/: Zatem dziś - o jedenastej..

/Do stolika zbliża się Roman z Madzią; tłum woła "mało" "mało"/

Elżunia /kiwa głową potakująco/

Bierowa /przysiadła się do trzech paniuś/: .. a ja wam mówię, z tego będzie wielki szkandał... Dziś na herbatce u doktorowej... /reszta słów ginie w gwarze tłumu, który po skończonym dancingu tłoczy się do wyjścia/.

Z A S Ł O N A .

Po tym akcie wielki antrakt.

A K T I I I .

"Po debjucie."

Gabinet sławnego tenora. Urządzony nieco orjentalnie - kobieco, z kokieterją "ulubieńca" kobiet; zatem dywany, tureckie otomany, poduszki ręcznie i w darze haftowane, niskie taburety, fotel bujający, zaciszne "kąty miłości", lustro-psyche, sięgające do ziemi, światła górne i boczne, z abażurami, pianino. Na ścianie kilka dobrych płócien, portretów, fotografij kobiet - wiele zdjęć tenora w różnych rolach, trofea, uschnięte wieńce, różnokolorowe wstęgi z napisami i t.p.; także wielki kosz i kilka świeżych wiązanek kwiatów /to dla Elzy/.

Gabinet tworzy środkową ubikację trzypokojowego mieszkania; na prawo pokój, zajęty przez Elzę - na lewo sypialnia Borskiego; wejście w głębi przez przedpokój.

Jesień. Pora popołudniowa. Borski w bujającym fotelu przegląda pisma, paląc cygaro - w głębi pokojówka Anni pod kierunkiem Elzy przygotowuje herbatę /zakąski, butelki i t.p. pod nadzorem Elżuni/.

S c e n a p i e r w s z a .

Borski: Prasę masz doskonałą. Max Bromer wypisał pean - a to ma znaczenie dla powodzenia decydujące. Wogóle - jak na debjutantkę, cudzoziemkę, Polkę - fenomenalne...

Elza /bardzo ucieszona/: Przecie grałam, grałam - sama to czułam..

Borski: Grałaś, nie przeczę, dobrze, jak na początkującą, bardzo dobrze...

Elza /dotknięta/: Nie wiem, nie rozumiem dlaczego, kiedy wszyscy mi gratulują bez zastrzeżeń, publiczność oklaskuje, jak mało komu, recenzenci piszą w superlatywach.. pan jeden, pan któremu to zawdzięczam, jakby chciał to wszystko pomniejszyć, zimną wodą mnie oblać..

Borski /niecierpliwie/: Naprzód nie "pan".. Prosiłem tyle razy. Nic nie pomniejszam. Ja pierwszy "odkryłem" twój talent - mam prawo pozostać trzeźwym w jego ocenie. Debjut się udał - nie przeczę - ale to jest dopiero początek. Teraz trzeba iść dalej, naprzód, żeby się nie zmanierować, nie zachłysnąć zbyt łatwo zdobytem powodzeniem..

Elza: Zbyt łatwo?..

Borski: Musisz zachować trzeźwy, zdrowy sąd - i miarę. Talentów jest na świecie dosyć - a debjutów mało. Sam talent nie wystarczy - musi być poparcie, protekcja..

Elza /smutno/: Wiem o tem.

Borski: Jeżeli protekcja jest dość mocna, w takim razie działa dalej. I dobrze, że działa dalej, po debjucie. Debjut jest, jak połóg: jeżeli udał się /nieraz przy pomocy kleszczy/, następuje druga faza niebezpieczeństwa - pokarmowa. Na scenie zabłysła nowa gwiazdka, pojawił się - intruz, dla wielu. Trwająca w danym momencie Równowaga w układzie sił, istniejąca w danej chwili zakulisowa konstelacja - są zagrożone. Odrazu formuje się wrogi front "wpływów", dotąd nawet rozbieżnych - przeciw "gwiazdce". Koło intrygi puszczone w ruch - do zaprzyjaźnionej prasy idą sygnały i sztafety: zadusić"gwiazdkę"! zagłodzić niemowlę!

Wtedy właśnie potrzebne jest jakieś ramię, silne ramię, ażeby ten atak odparowało, "gwiazdkę" w konstelacji utrzymało - nietylko utrzymało, ale i doprowadziło ją na pierwszy plan teatralnego nieba i opatrzyło światłem pierwszej kategorji. Dopiero wtedy jest pewna.

Elza: Ja myślałam, że po debjucie, po takim debjucie...

Borski: Oczywiście, to sprawę ułatwia, bardzo ułatwia. Posiadasz tak wyjątkowo szczęśliwe warunki zewnętrzne.. To jest jeszcze ważniejsze niż talent /przysiada się do niej, namiętnie/. Od ciebie bije czar, który zniewala. I mnie i innych - wszystkich. To nie jest tylko czar młodości, świeżości, urody.. Nie wiem, skąd w

tobie, dziewczynce z pól i lasów, ten "sex appeal". /obejmuje ją/. Zamiast leśną konwalją pachniesz - tuberozą,"fleur du mal". Od takiej woni można-umrzeć. /puszcza ją, trochę się odsuwa/. Wszyscy poszaleli - nawet ten stary Bromer - Kurt Hüttel, partner, Romeo, także, naturalnie. /bardzo zły/. Obserwowałem go, nietylko ciebie, jak gra. To nie jest Romeo Szekspira. Tak się tego nie robi - tak robić nie wolno. On wychodzi poza rolę, poza siebie - kocha się w tobie, publicznie, na scenie, szaleje naprawdę. To jest wstrętne. Na to nie można pozwolić, już ze względów czysto teatralnych /prawie krzyczy/ Ja na to nie pozwolę!... /Dzwonek. - Anni wprowadza po chwili gości: Max Bromer, krytyk teatralny, lat powyżej 60, ale dobrze zakonserwowany i poczerniony, obfity brodacz; Kurt Hüttel, amant sceny, lat 30, naturalnie przystojny/.

S c e n a d r u g a .

Obaj podchodzą z powitaniem naprzód do Elzy, potem do Borskiego.

Elza /pokazując kwiaty/: Bardzo dziękuję za kwiaty i /do Bromera/ panu redaktorowi za recenzję, taką nadzwyczajną, chyba na kredyt dalszej pracy nowicjuszki.. /do Kurta/. Panu jeszcze raz za koleżeńską współpracę, pomoc, wskazówki, życzliwość..

/tymczasem wszyscy usiedli - Anni roznosi herbatę, zakąski, butelki etc./

Bromer: W recenzji dałem samą prawdę, czystą prawdę - o ile to jest wogóle w ramach dziennikarskiej estetyki możliwe. Nic nie przesadziłem. Pani ma talent - pani ma więcej niż talent. Pani ma to wielkie, nieuchwytne plus, które dodane do talentu tworzy - genjuszy. To się określa utartem słowem "iskra Boża", "Spiritus Dei"...

Borski: Pan redaktor jest bardzo łaskaw, wyjątkowo łaskaw..

Bromer: Ależ nie, drogi mistrzu, ależ nie.. Nie "łaskaw".. Szczerze, głęboko wzruszony. To właśnie: pani mnie, starego wygę teatru - wzruszyła. Poraz pierwszy w tym stopniu od wielu lat pani mnie swoją Julją wzruszyła. Odczułem starą, świętą "grozę i litość"

Arystotelesa - największy triumf aktora. Pani przelała swój zapał we mnie - w nas wszystkich. To jest największy sukces. Mój kolega z "Allgemeine Zeitung" po raz pierwszy od wielu lat - nie drzemał. Pani przebiła tę twardą skorupę teatralnego zblazowania, które mniej więcej grozi każdemu, kto spełnia od lat zawodowo funkcję teatralnego recenzenta.. Dzięki pani, poczułem się znowu młody: młody student, który z paradyzu chłonie nabożnie słowa, padające od ołtarza-sceny. Ja jestem pani za to wdzięczny, niewymownie wdzięczny /całuje ją w rękę/.

Borski: Panna Elza posiada rzeczywiście zaczarowanego inkluza: odmładza - bez Steinacha..

Bromer /potakując/: Przecie wiem /patrzy na Borskiego/, widzę-czuję...

Kurt: Nie wiem, jak działa fizjologicznie, w kierunku odmładzania - ale czuję, jak gra. Czuję to jako jej partner z bezpośredniej bliskości. Romea gram nie po raz pierwszy - i miałem różne partnerki, nieraz znane, rutynowane. Ale żadna nie była taką Julją..

Bromer: Otóż właśnie. Panna Elza gra bez rutyny. To jest w tym wypadku jej wielkie plus. Zamiast rutyny posiada dary Boże, właśnie takie, w jakie Szekspir uposażył swoją weroneńską kochankę: autentyczną młodość bez szminki, urok, wdzięk, masę wdzięku - i ten zasadniczy, tak rzadki w swej pełni a tak konieczny dla tej kreacji ton liryzmu.

Kurt: Panna Elza ma liryzm odrębny, swoisty, powiedziałbym, Chopinowski - to jest nokturn Chopina, grany słowami we fikcyjnej Weronie...

Elza /bardzo ucieszona i bardzo zażenowana/: Panowie są tak dobrzy ... tak łaskawi.. zasypują mnie kwiatami pochwał, na które przecie nie mogłam jeszcze tak bardzo zasłużyć.. Przecie bez protekcji..

Bromer: Niech pani tego brzydkiego słowa nie używa. Obecnie już pani tej, tej obrzydliwości wcale nie potrzebuje..

Borski /niezadowolony/: No, no, redaktorze. Pan w tym kierunku jednak przesadza. Widać, że mimo wszystko nie zna pan dość głęboko atmosfery i warunków teatralnego życia..

Bromer: Jestem przekonany, że po takiej Julji może pani już iść naprzód o własnych siłach, bez sztucznych podpórek.. /wracając do tematu/. Pan Kurt słusznie zauważył, że pani liryzm jest swoisty, inny, nam nieznany, lub mało znany. Może to jest właściwość rasy, Chopina, polska? Ta zamknięta w krysztale radości życia, temperamentu - perła szczerej, głębokiej melancholji? Mazurka i nokturn - w jednem ujęciu /podchodzi do pianina - uderza kilka akordów Chopina/

Kurt: Przedewszystkiem szczerość i bezpośredniość uczucia. Panna Elza podchodzi do swej Julji z bezpośrednim, niemal naiwnym prymitywizmem tych "ingénu´s", których rytm współczesnego życia wygubił niemal doszczętnie, zwłaszcza w teatrze. Ta jej kreacja pachnie, jak leśna polanka, nagrzana słońcem...

Borski: Ho, ho - nasz amant poeta - zaczyna marzyć o "Waldeinsamkeit". Czy z driadą? Obaj panowie wpadają w liryczne nastroje pod wpływem polskiej dziewczyny, rzeczywiście wychowanej w górach, lasach, nie znającej rytmu współczesności. Okazuje się, że w tem leży jej największa siła wobec nas, ludzi miast, wrzasku ulicy, wyścigu kłamstwa, pozy namiętności...

Elza: Panowie ciągle o mnie.. To mnie bardzo cieszy, jestem bardzo dumna.. ale panowie, zdaje mi się, trochę się mylą. Nie jestem taką "igénue" , za jaką mnie podaje pan Kurt. Ani znowu taka całkiem liryczno-melancholijna, taka Chopinowska.. Nie, nie. To pewno i mnie zgłuszył ten"wrzask ulicy", te wielkie wrażenia, ta.. dziwna sytuacja życiowa, w której się znalazłam. Ale to przejdzie - umiem być wesołą, lekkomyślną... bardzo lekkomyślną. Nawet piję, o, konjak /wypija jednym haustem, krzywiąc się/ - i wogóle aktorką chciałabym być tylko na scenie - a pozatem cieszyć się życiem, poprostu, życiem, które jest piękne, bujne, nowe - teraz tak dla mnie

nowe - że jeszcze na razie nie umiem w pełni ocenić tego rytmu, za którym jednak tęskniłam, bardzo tęskniłam /zamyśla się mimo to smutno/ - i kupiłam go sobie ... drogo...

Borski: Ostatecznie znowu mgiełka melancholji. To jest rzeczywiście nowość, której dawniej u panny Elzy nie zauważyłem. Była wesoła, bardzo wesoła. U nas to się nazywa "kozaczek".

Bromer: I do tej wesołości musi powrócić. Powróci na pewne, gdy przejdą pierwsze, tak niezwykłe dla niej wrażenia.. Gdy przestanie na nią działać trans tego napoju ojca Laurentego, czterdziestogodzinny, ciągle jeszcze dolewany..

Borski: Tak, dolewany niepotrzebnie i poza sceną.. /po chwili/. Mam myśl. U nas to się nazywa "klin klinem": działanie miłosnego napoju wypalić ogniem szampana. Mam oryginalną "Veuve Cliquot" - demi-sec.. Chowałem na specjalną okazję. Dziś przeżywamy taką osobliwą chwilę: chrzciny gwiazdy.. Wypijemy nawet przy herbacie..

Bromer /do Kurta/: Nasz mistrz pije. Przedtem tego nigdy nie robił. Zmienił się i pod tym względem..

Elza /uderzyła w dłonie/: Doskonale.. Sama go zamrożę. /wychodzi/.

S c e n a t r z e c i a .

Ciż bez Elzy.

BIBLJOTEKA TEATRU WIELKIEGO ZARZĄDU MIEJSKIEGO w król. stoł. m. Lwowie

Borski: Ten szampan z herbatą przypomina mi pewien zabawny epizod, który przeżyłem niedawno w kraju. Od lat tam nie byłem. Pojechałem na święta. Wszystko tam, jak było, tylko ku starości nieco więcej się pochyliło. Jakby wielki kataklizm nie przeorał świata a ciągle jeszcze nowe burze nie grzmiały w przestworzu. Byłem na wsi - tam jeszcze nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę, że stary świat zginął a nowy rodzi się w boleściach. Przyjmowano mnie też po staremu, owszem szeroko, serdecznie, okazale... Raz w towarzystwie, gdy mowa była o polskiej kuchni - bardzo chętnie o tem rozmawiają - wspomniałem mimochodem, że lubię pierogi z kartoflami i serem - coś

w rodzaju "Powideltascherln", tylko bez powideł i o wiele lepsze - pochodzę bowiem ze wschodniej części kraju, z byłej wschodniej Galicji...

Bromer: Wiem, wiem.. Gorlice, Przemyśl..

/Elza wraca - za nią Anni wnosi szampana we wiaderku/

S c e n a c z w a r t a .

Ciż i Elza.

Borski: Tak jest. Wspomniałem zatem o tych pierogach. I nazajutrz, na proszonym obiedzie, wniesiono półmisek wspaniale woniejących, specjalnie dla mnie ugotowanych.. Żebym zaś sobie nie myślał, że nie jestem w "Europie" i że gospodarzy na to nie stać - a także trochę "pour epater" - do pierogów podano.. szampana, coprawda podłego, węgierskiego.. Otóż macie - pierogi i szampan - to jest niemal symboliczne: mój kraj - ziemia niespodzianek, wschód i zachód na jednym stole, cywilizacyjne spóźnienie i "postęp", możliwie "dernier cris" postępu, feudalizm i komunizm, pod jednym dachem, podziwiane przez etnologów błota pińskie i centralne ogrzewanie w ziemiach zachodnich, analfabeci i-genjusze.. Cudzoziemiec albo ten, kto od lat w kraju nie był - z podziwem ogląda to mixtum compositum..

/tymczasem Elza wróciła i za nią weszła Anni, niosąc w wanience flaszkę szampana. Elza rozlała wino, otwarte przez Kurta z hukiem, do kieliszków, które pokojowa na tacy rozniosła./

Kurt: Nam przywiózł pan najszlachetniejszy wytwór tego "mixtum" ze swojego kraju - wielką artystkę..

Bromer:...i szampańską dziewczynę. Zdrowie słowiańskiej, polskiej Julji.. prosit.. /wszyscy uderzają w szklankę Elzy i wychylają duszkiem/.

Elza /już bardzo ożywiona trunkiem - z pustym w ręku kieliszkiem/: Ja zaś piję na cześć sztuki..

Kurt: To musimy nalać /czyni tak/.

BIBLJOTEKA TEATRU WIELKIEGO ZARZĄDU MIEJSKIEGO w król. stol. m. Lwowie

Elza /ciągnąc dalej/: Na cześć sztuki, która jest wieczna, trwa ponad życiem jednostki i narodów,"ars longa".. i ponad narody się wynosi, ponad ich waśń i kłótnie.. i te narody ku sobie zbliża, uciesza, koji - w obliczu piękna, które można pokochać wszędzie, nawet na tych pińskich błotach i w starych domach, bez centralnego ogrzewania.. bowiem spiritus.. spiritus..

Bromer /pomaga/: ..fiat ubi vult.. i eviva l'arte - i raz jeszcze nasza polska Julja, która, jak widzę, i retoryczne posiada talenty - niech żyje! /wypijają zdrowie/.

/Zmierzcha. Przez okno pada purpurowy szlak zachodzącego słońca i kładzie się na podłodze. Elza podchodzi ku oknu, staje w czerwieni i mówi w stronę okna/

Elza: .....Nocy, przyjdź! I przyjdź, Romeo,
Ty dniu wśród nocy! Na jej czarnych skrzydłach
Ty zajaśniejesz, jak na skrzydłach kruka
Śnieg świeżo spadły. Przybądź, łaski pełna,
Kochana nocy, nocy czarnobrewa,
Daj mi Romea - a gdy umrze, weź go
I rozdziel w małe gwiazdki - on rozjaśni
Oblicze nieba tak, że świat się cały
Rozkocha w nocy i oślepiającym
Słonecznym blaskiem wzgardzi. Och, kupiłam
Miłości chatę, ale w niej nie mieszkam,
Sprzedanam, lecz nie posiadł mnie nabywca...
/dłuższa pauza/.

Bromer: Sytuacyjnie powinien nam grozić raczej świt, aniżeli nadciągająca noc weroneńska. Jest pora odejścia, ucieczki - przed Kapuletem /podchodzi i żegna się z Elzą i Borskim/.

Kurt /żegnając Elzę/: "Niech słodki sen osiądzie wnet na twoich
Powiekach, błogi spokój w łonie twojem..
O, gdybym być mógł snem twym i spokojem!.."

S c e n a p i ą t a .

Borski. Elza.

/Borski zły-usiadł z powrotem w bujającym fotelu, zapaliwszy przedtem cygaro; Elza pozostała w pobliżu okna; robi się coraz ciemniej./

Borski: Jest niedobrze, gdy młoda aktorka daje się niepotrzebnie ponosić fali poetyckości.. i kiedy zatraca poczucie granicy pomiędzy sceną a - życiem..

/Elza nie odpowiada; odeszła od okna, zapaliła boczne, przyciemnione abażurem światło - siada zaplótłszy ręce w pobliżu Borskiego./

Borski /ciągnie dalej/: To prowadzi do maniery, do przedwczesnego zgrywania się.. Układanie dramatu, konieczne na scenie, zaczyna przechodzić w życie, Julja Kapulet zabiega drogę - "Elżuni" Rozbierskiej, ciągnąc za sobą - Romea.. Przytem - ten nadmiar deklamacji, ta sentymentalność "panienki ze dworu".

Elza: Ja jestem - panu - nieskończenie wdzięczna za to wszystko, co pan dla mnie zrobił. Ale od pewnego czasu widzę i słyszę, że pan jest ze mnie - niezadowolony..

/Borski milczy/

Elza: Pan mi ma coś do zarzucenia - ale tego nie mówi, nie chce powiedzieć. Pan "mówi o niczem". Bo przecie te szpilki kryją myśl inną...

/Borski milczy/

Elza: A wszak nie popełniłam nic złego - nie wyrządziłam panu świadomie żadnej przykrości, żadnej - krzywdy.. Zato pan, celowo i świadomie, psuje mi moją wielką radość, ten mój sukces na scenie..

/Borski wstał i przechadza się nerwowym krokiem./

Elza: Cieszę się także, że będę mogła być teraz niezależna, samodzielna. Będę mogła zmienić tę bądź co bądź fałszywą sytuację wspólnego mieszkania, do której byłam zmuszona; przestanę panu za-

Biblioteka Narodowa

wadzać, ciężyć..

Borski /stanął przed nią/: Dlaczego tak mówisz? dlaczego chcesz za wszelką cenę podtrzymać ten ton "pupilki" i "~~mecenasa~~ opiekuna"? dlaczego odgradzasz się ode mnie tym murem chłodnej, obojętnej "wdzięczności" i rzucasz na mnie kamieniami "zawadza", "ciężyć" /siada koło niej - z rosnącą namiętnością/. Sama nie wierzysz w to wszystko. Wszak widzisz, widzisz chyba oddawna, czem dla mnie jesteś.. dlaczego, dlaczego nie chcesz, nie umiesz mnie - pokochać! /pauza/. Męczę się, cierpię okrutnie, jak potępieniec. Widzę, czuję, jak daleko krążysz ode mnie.. Duszę się pod głazem tej obojętności.. Nienawidzę teatru, nienawidzę twej sztuki! Ona mi ciebie zabiera.. Nienawidzę wszystkiego, co ciebie otacza, a nie jest mną.. Boję się, straszliwie się boję, kiedy zbliża się do ciebie - ktokolwiek.. Żre mnie okrutna, potworna zazdrość, że mi ciebie porwie.. /obejmuje ją, przyciąga do siebie/. Nie puszczę.. nie mogę.. Jesteś moją pierwszą i ostatnią, wielką, śmiertelną miłością.. ty..ty..panienko z gór! Wrosłaś we mnie, jak bujny, młody krzew, który rozwala ścianę - krążysz w żyłach wraz z krwią gorącem pożądaniem.. Niszczysz i trawisz.. Nie puszczę.. nie mogę.. chyba z życiem...

/niemal siłą kładzie ją na otomanie./

Z A S Ł O N A .

A K T I V .

"Córka marnotrawna."

W mieszkaniu Borskiego, jak w akcie III. Podwieczór drugiego święta Bożega Narodzenia w rokupo akcji I.aktu. Na scenie radjo z ampljonem w prawym kącie tylnym.

Elza siedzi skulona w fotelu, owinięta szalem, bez ruchu - Borski przechadza się nerwowym krokiem wszerz sceny. Półmrok.

Borski /zatrzymuje się przy zapalniczne, wyjmuje cygaro, zapala - chodzi dalej/.

Elza /głosem matowym/: Znowu palisz przed występem.

Borski: Palę, nie palę - wszystko jedno. Moja sprawa. Dla ciebie to niema znaczenia. Dziś masz już drogę przed sobą pewną i otwartą - dzięki mnie, dzięki mnie! Już ci nie jestem potrzebny.. murzyn może odejść, wykonał swą służbę. /po chwili z coraz bardziej rosnącem podrażnieniem, które wkońcu przechodzi w pasję/. Ale, nie odejdzie. Zostanie - zostanie, na zawsze - do śmierci. /stając przed nią/ Zostanie, chcesz, czy nie chcesz - bo cię równie kocha, jak - nienawidzi, ty.. ty.. panienko ze dwora. /pauza/.

Czem byłabyś beze mnie, powiedz? Dzierlatką, panną na wydaniu, dziedziczką na tych waszych chudych, podhalańskich kartofliskach, przykładną żoną i matką w Psiej Wólce. Myślisz, że pozwolę się kopnąć jak niepotrzebny sprzęt, jak wyciśnięta cytryna?

Że ci pozwolę na romanse z młodymi żółtodzióbami? że zgodzę się na śmieszną rolę oszukiwanego rogala? Panienka się myli - panienka się przeliczy. I myli się także, jeżeli sądzi, że już jest skończoną artystką, podczas gdy mój głos.. Myli się, bardzo grubo się myli. Do wielkiej, mocnej, na własnych nogach stojącej artystki jeszcze daleko a mój głos.. mój głos.. Jeszcze zobaczylibyśmy, ktoby z nas pierwszy się"skończył"! ja, z moją rutyną, doświadczeniem, stanowiskiem, zdobytem wieloletnią pracą - czy stawiająca zaledwo pierwsze kroki krowienta, której udało się zagrać jedną rolę! /podchodzi

do szafki, wyjmuje butelkę konjaku - pije/.

Elza /ciągle tym samym matowym, umęczonym głosem/: Spóźnisz się do teatru.

Borski: Moja rzecz. Stać mnie na to, żeby zerwać spektakl /pauza/. Dziś rok, jak ciebie poznałem, w "małym domku".

Elza /powtarza/: Dziś rok...

Borski: Poznałem polską "wiochnę" na polskiem Bożem Narodzeniu - i ja, z którego życie odarło wszystkie złudy - oszalałem. /siada koło niej z rosnącą namiętnością/. Oszalałem, spojrzawszy w jej czyste i głębokie oczy, z drzemiącym jednak na dnie djablikiem - i w ten purpurowy miąższ rozchylonych warg /obejmuje ją w pół/ Jej dziewicze, gibkie ciało, kładło się we śnie koło mnie.. /Elza usiłuje wyzwolić się z objęć/.

Elza: Spóźnisz się do teatru.

Borski: Jesteśmy skuci z sobą na zawsze, chcesz, czy nie chcesz. Uprowadziłem i uwiodłem - zresztą, wiedziałaś, co robisz, uciekając z domu. Połączył nas grzech i zbrodnia /znowu pochyla się do niej/ - i ta moja wielka, krwawa, śmiertelna namiętność - ostatnia. Nie dam sobie nikomu wydrzeć ciebie - rozumiesz!

/wstaje, gotując się do wyjścia./

Nawet po śmierci. Mój duch, moje wspomnienie - zatruje ci każdą radość - z innym. Rozumiesz? /już ubrany, wraca jeszcze raz/. Wrócę po przedstawieniu prosto do domu. Możesz nastawić sobie radjo - i posłuchać, jak śpiewam, jak jeszcze śpiewam.

/Odkręca wszystkie kontakty, zapala wszystkie światła, dzwoni - wchodzi pokojowa/

BIBLJOTEKA TEATRU WIELKIEGO ZARZĄDU MIEJSKIEGO w król. stol. m. Lwowie

Scena druga.

Ciż sami i Anni.

Borski: Pilnować domu - nigdzie nie wychodzić - nikogo nie wpuszczać. /wychodzi/.

S c e n a t r z e c i a .

Elza i Anni.

Anni /kręci się po pokoju - niby poprawia, sprząta/: Myślałam, że będę miała wolny wieczór.. Chciałam odwiedzić rodziców, zakolendować.. Dziś u nas święto podwójne, Stefana - imieniny ojca. Wszyscy się zejdą..

Elza /ożywia się/: I będziecie kolendować,. pod drzewkiem?

Anni: Będą kolendować. Ojciec zagra na harmonji. Pięknie gra na harmonji, znają go z tego w całej dzielnicy. I drzewko jest u nas zawsze piękne - dla dzieci. Dwie siostry mam zamężne. Przychodzą z dziećmi..

Elza: I kolendujecie.. pod zaświeconem drzewkiem..tak jak u nas?

Anni: Śpiewamy nasze piękne stare pieśni Bożego Narodzenia: "Stille Nacht, heilige Nacht"..albo /nuci/ O du fröhliche, ó du seelige, gnadenbringende Weinachtszeit,
Welt ging verloren, Christ ist geboren,
Freue dich, freue dich, o Christenheit..

/dłuższa pauza/

Elza /bardzo posmutniała/: Niech Anni idzie kolendować. Niech rodzice nie czekają - na próżno..

Anni /choć tego oczekiwała, bardzo ucieszona/: Pan nie pozwolił.. gdyby się dowiedział..

Elza: Niech Anni idzie.. nikt się nie dowie.. w taki wieczór nie wolno sprawiać przykrości rodzicom..

/Anni dziękuje - wychodzi./

S c e n a c z w a r t a .

/Elza dłuższą chwilę sama. Wstaje, gasi środkowe światło - pozostawia tylko boczne, przyćmione. Idzie do okna, - patrzy w czarną przestrzeń z żalem i tęsknotą./

Dzwonek u wejścia. Elza namyśla się, czy otworzyć. Dzwonek po-

wtórnie. Elza wychodzi do przedpokoju i wraca z - Kurtem.

S c e n a p i ą t a .

Elza, Kurt.

Elza /z wyrzutem/: Prosiłam, żeby mnie pan tutaj nie odwiedzał..

Kurt: Proszę ~~xxxx

Kurt: Ależ pani Elzo - to jest jakieś tragiczne nieporozumienie! To przecie Borski krzywdzi panią - nie pani jego. Krzywdzi panią tą swoją niedobrą, starczą namiętnością - i, co jeszcze gorsze, tą rozbudzoną zazdrością aktora, który się nieodwrotnie kończy, wobec zwycięskiego pochodu naprzód młodego talentu. Pani nie wie, do czego taka zazdrość może doprowadzić!

Elza: Jemu zawdzięczam, czem jestem a czego tak bardzo pragnęłam tam.. wsta~~ł~~ym domie. Nie mogę go opuścić teraz, kiedy umiera jako śpiewak - ani później, gdy pozostanie mu ta jedyna, krwawa, okrutna miłość do mnie. Nie mogę go opuścić. Boję się. Boję się jego - i o niego. Nie mogę jeszcze bardziej obciążać sumienia - i tak czasem wydaje mi się, że dźwigam ciężar ponad siły. Taki jest los - taka cena za"sztukę" - taka i/pokuta za popełniony - grzech..

Kurt: To jest samobójczy fatalizm i ponad wszelką miarę sztuczne obciążanie życia odpowiedzialnością za to, co może nastąpić. Pani Elzo - pani musi wydobyć się z tego błędnego koła niepopełnionych win i dobrowolnej kary. Miłość i zazdrość Borskiego jest jak wampir, który wysysa pani młodość, wiarę, zapał, radość życia i sławy. Wszystko to on w panią wmówił, zasugerował pani ten obowiązek samarytański przy łożu paralityka..

Elza: Boję się.. Boję się, czy i tej śmiertelnej choroby nie jestem sprawczynią. Gdyby nie ja - byłby może śpiewał jeszcze długo.. Taki rok ciągłych szarpań, scen zazdrości, alkoholu, nikotyny...

Kurt: Przecie to jego wina. Od samego początku. On panią wykradł, uprowadził. Wiedział, że mógłby być pani ojcem. Że nie może wymagać od pani miłości. Że prędzej, czy później przyjdzie ktoś, bardzo szczęśliwy - i zabierze panią. Że takie jest prawo życia. Ta jego zwierzęca zazdrość jest wstrętna. Łysy, zramolizowany Otello! Przecie pani jest czysta, święta - jak żadna.

Elza: Boję się.. Nie puści mnie, nigdy. Bije od niego siła, która mnie pęta. Jego cień chodzi za mną i zabija każdy uśmiech. Kie-

dyś, jeszcze niedawno - umiałam śmiać się jak dziecko. Zabił to we mnie. Postarzałam się o wiele lat od tej chwili, mkiedy pokryjomu pożegnałam stare ściany rodzinnego domu - i tych dwoje, uśpionych obok, najbliższych mi ludzi /niemal płacze/.

Kurt:/gładzi ją jak dziecko/: Biedna, biedna - maleńka dziewczynka - opętał ją zły czarownik... /energicznie/ Ale tak nie może zostać - tak nie może być. Pani musi odejść. Pani musi go zostawić jego losowi. Niech pani liczy na mnie. Niech się pani oprze na mnie - niech mi pani sprawi to wielkie szczęście...

Elza /z rosnącym aż niemalddo granic psychopatji strachem/: Boję się.. boję. Bije mnie. Jest ciągle ze mną, koło mnie - pilnuje, śledzi, podpatruje.. Jest zawsze, jest wszędzie.. Widzę jego spojrzenie, słyszę jego głos.. /coraz głośniej/ Słyszę jego głos; krąży, wibruje w górze, jak sęp.. opada i wgryza się w duszę - zamienia w zły szept, syk.. /podeszła do radja, machinalnie nastawiła: - dochodzi początek arji "La donna e mobile", śpiewanej przez Borskiego. Oboje, także i Kurt, zamierają w bezruchu, zasłuchani tragicznie w głos tenora, który wspina się z trudem w górne rejestry - aż gdzieś na górze rozlega się potwornym "kiksem"/.

Kurt:/woła z triumfem/: "Koniec tenora.. łabędzi śpiew.. /chce objąć Elzę/.

Elza /bardzo przerażona/odpycha Kurta/: Teraz proszę odejść.. zaraz odejść..

Kurt: Ależ,pani Elzo.. to powinna być godzina wyzwolin..

Elza /wypycha go do wyjścia/: ..muszę być sama..sama.. /Kurt wychodzi/.

S c e n a s z ó s t a .

Elza - sama przez całą scenę. Od drzwi powraca do radja, które gra ciągle dalszy ciąg"Rigoletta" - urywa muzykę, podchodzi na przód sceny w stronę okna i zapada w długą, bolesną zadumę. Potem gasi światło - przechodzi do swego pokoju na prawo.

Długa pauza na pustej scenie. Potem zgrzyt klucza w przedpokoju - na scenę wchodzi w rozpiętym futrze i czapce na głowie, krokiem niepewnym - Borski.

S c e n a s i ó d m a .

Borski sam przez całą scenę. Po katastrofie"kiksa" postarzał się odrazu. Wygląda jak ruina. Swój dramat gra w tonie "naplewat´". Może nucić głosem ochrypłym "la donna e mobile".

Zapala boczne światło. Nie zdejmując futra i czapki, siada w fotelu. Potem wstaje, idzie do szafki, wyjmuje konjak, wraca do pierwotnego miejsca, nalewa i wypija, zapala cygaro. Wstaje -podchodzi do zamkniętych drzwi pokoju Elzy - słucha oddechu śpiącej.

Powraca - na stoliku spostrzega zapomnianą papierośnicę Kurta. Tu musi "wygrać" tragedję kochanka obok tragedji śpiewaka - jednak dalej z pozą "komedjanta" w tonie "naplewat´".

Z szuflady stolika wyjmuje rewolwer. Ogląda - odsuwa bezpiecznik; z rewolwerem podchodzi do drzwi pokoju Elzy: "wyobraża sobie" jakby ją zabił. Słucha pod drzwiami - potem wraca. Rewolwer kładzie na stoliku obok siebie. Pije konjak jeden, drugi. Wyciąga papier listowy - niby chce pisać - po chwili machnął ręką i odsunął papier.

Z rewolwerem idzie do wielkiego lustra. Gra dalej komedję tragicznego kabotyna: siada w krześle i pozuje się do lustra: przykłada rewolwer do serca, do skroni, wkłada w usta.

Ale nie strzela. Wyjmuje rewolwer z ust i opuszcza ku ziemi. Wstaje: zgarbiony, z rewolwerem opuszczonym ku ziemi w ręku, idzie wolno do swego pokoju, otwiera i zamyka za sobą drzwi. Pauza. Potem z pokoju Borskiego rozlega się strzał.

S c e n a ó s m a .

Na odgłos strzału otwierają się po chwili drzwi od pokoju Elzy: staje w progu w bieliźnie i ogarnia spojrzeniem całą, pustą scenę.

Zwolna, krokiem kataleptycznym idzie naprzód. Kiedy doszła na środek sceny - otwierają się drzwi pokoju Borskiego.

S c e n a d z i e w i ą t a .

W progu staje Borski w pozie, jak wyszedł, z rewolwerem ku ziemi w ręku.

Borski /mówi ochrypłym, przerywanym głosem/: Kuna.. zakradła się.. do mojego domu... Wystrzeliłem na postrach.. i.. ostrzeżenie... /zostaje w tej pozie aż do końca/.

Elza - zastygła na środku bez ruchu. Pauza. Gdzieś zbliska, od strony okna, dochodzi śpiew i słowa kolendy przy akompanjamencie ręcznej harmonji:

O du fröhliche, o du, seelige, gnadenbringende Weinachtszeit
Welt ging verloren, Christ ist geboren,
Freue dich, o freue dich, o Christenheit.

Elza /łka jak dziecko/: Mamo... tatusiu....

K O N I E C .

BIBLJOTEKA TEATRU WIELKIEGO ZARZĄDU MIEJSKIEGO w król. stol. m. Lwowie

WŁASNOŚĆ TEATRU MIEJSKIEGO we LWOWIE ZWROT ZASTRZEŻONY